



Samotny atak szczytowy

Pisk, świst, niczym atak nietoperzy – słyszę nad głową przeraźliwe odgłosy z małych uzbrojonych w kły gardzieli i trzepot błoniastych skrzydeł. Rozchylam na wpół zaropiałe oko. Dookoła panuje głęboka ciemność jak w jaskini pełnej hałaśliwych wampirów lub gacków. Wysoka częstotliwość wprawia bębenki w bolesne drgania, przeszywa głowę na wskroś i powoduje odrętwienie mózgu. Ciężko zebrać myśli, a co dopiero mówić o solidnym ułożeniu gardy, żeby bronić się przed hordami futrzanych ssaków z wydatnymi skórzastymi uszami i błonami lotnymi. Zdezorientowany i spanikowany otwieram drugie oko i zauważam, że to nie wilgotne sklepienie jaskini rozciąga się nad moją głową, tylko pokryty srebrzystym szronem sufit namiotu. A... no tak. Jestem w Andach w obozie Nido de Cóndores i zaraz mam ruszyć do ataku szczytowego. Chyba wolę jednak atak nietoperzy, wydaje się doznaniem przyjemniejszym od porannego rozruchu.

Dość już tych pisków. Wręcz instynktownie odnajduję, macając przez śpiwór, nawigację satelitarną, która z wielkim sukcesem zastępuje budzik z metalowymi dzwoneczkami. Jestem sam w małym, czerwonym namiocie pośrodku

nocy na wielkim pustkowiu, gdzieś na północny zachód od wierzchołka. Dookoła brak żywego ducha. Na pierwszy rzut oka teren wygląda dość upiornie i gdyby nie fakt, że tak wysoko naprawdę nie występuje nic prócz kamieni, to można by pomyśleć, że nieopodal w otchłani ciemności czai się potwór, który tylko czeka, żeby dorwać i rozszarpać mnie na drobne kawałki. Nie przejmuję się za bardzo widziadłami lub inkaskimi odpowiednikami strzygi, bo mam teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Sięgam głęboko do śpiwora i obok odbiornika GPS lokalizuję dwa pojemniki z wodą o temperaturze ludzkiego ciała. Całe szczęście, że nie zamarzły i dzięki temu mogę zaoszczędzić sporo czasu. Czuję się dobrze, bez jakichkolwiek niepokojących objawów związanych ze spaniem na znacznej wysokości. Jednak dobra aklimatyzacja to podstawa. Jak mówił Mauricio: „Jesteś sam i zawsze musisz być gotowy na sto procent”.

Nie czuję szczególnie głodu, ale na dobry ramen z torebki od przyjaciół Słoweńców zawsze znajdzie się miejsce w żołądku. Rozpoczynam standardową procedurę przy świetle czołówki, jednocześnie starając się nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów w małym namiocie, tak aby wielkie płaty szronu nie spadały na głowę, ubrania i śpiwór, a podstępnie topniejąc, nie zmniejszały izolacji cieplnej. Niemal instynktownie i po omacku przekładam skawalony śnieg z torby w przedSIONKU, znajduję zapalniczkę i zawór w kuchence gazowej oraz odpalam ogień. Przyjemne syczenie płonącej mieszanki propanu i butanu wpływa uspokajająco. Być może to genetyczne pozostałości po bardzo dawnych przodkach, którzy zwykli zbierać się i relaksować przy trzaskających polanach domowego ogniska. W końcu od kilkunastu dni ten kawałek czerwonej nylonowej

plandeki, rozpostartej na trzech aluminiowych pałkach, zastępuje mi dom. Przygotowanie posiłku należy do jednej z przyjemniejszych czynności podczas wypraw wysokogórskich. Mało tego: kuchnia i sypialnia leżą tuż obok siebie. Poza tym dla wygody posiłek przyrządzam w ubraniu, będąc zakutany w śpiwór. Można rzec, że śniadanie serwuje się bezpośrednio do łóżka. Takie luksusy tylko w Nido de Cóndores i niech zazdrości ten, kto nie może być tu teraz ze mną.

Po pożywnej zupce pora jeszcze na dodatkowe uzupełnienie płynów i jednoosobowa załoga zgłasza gotowość do wyjścia. Coś w podświadomości jednak blokuje mnie przed rozsunięciem płachty wejściowej. Wiem, że na zewnątrz panuje przeraźliwe zimno. Słyszę rozsierzony wiatr, który hula i szarpie namiotem we wszystkie strony. Staram się mimowolnie znaleźć jeszcze jakieś drobne czynności do wykonania, żeby jak najbardziej opóźnić wymarsz i jak najdłużej delektować się sielskim klimatem w namiocie. Czas jednak mija nieubłaganie i jeżeli chcę myśleć o powodzeniu wyprawy, muszę wyruszyć teraz. Zakładam dodatkową warstwę puchową, na czubek głowy nasuwam kominiarkę i na koniec solidnie zaciskam łapawice wokół nadgarstków. Gotów! Na zachętę uderzam jeszcze rękawicami o uda oraz dwa razy klepię dłońmi. Kwadrans po piątej, już czas.

Płynnym ruchem rozsuwam suwak. Momentalnie silny wiatr i krystaliczny puch śniegowy wpadają do środka. Teraz już nie ma odwrotu. Gramolę się na zewnątrz i staję w całkowitej ciemności. Światło czołówki oświetla mały namiocik owiany zewsząd śniegiem. Rozglądam się dookoła, dostrzegam porozrzucane w nieładzie kamienie. Odwracam się

w kierunku ścieżki wiodącej ku górze i w silnym strumieniu światła dostrzegam wielki głaz, który stanowi punkt orientacyjny. Muszę dojść najpierw po płaskim terenie do obiektu westchnień boulderowców, a potem skręcić w prawo, żeby nabrać wysokości, podchodząc po stromym stoku, skąd rozpocznie się długi trawers. Ruszam powoli przed siebie. Wszystkie ślady po wcześniejszym wypadzie rozpoznawczym zatarła świeża warstwa nawianego śniegu. Nie mam jednak problemu z orientacją w terenie. Szedłem już tędy i noc zupełnie nie przeszkadza w odnalezieniu właściwej drogi.

Sprawa ma się zupełnie inaczej, jeżeli chodzi o temperaturę. Przenikliwie zimno doskwiera tak bardzo, że jedynie stały ruch pozwala utrzymać ciepłość ciała. Znajduję się wysoko w górach, w ciemności, gdzie bardzo mocno wieje. W nocy w Nido de Cóndores wskazania termometru schodzą poniżej minus piętnastu stopni Celsjusza, a na samym szczycie w ciągu dnia mogą osiągać minus dwadzieścia pięć stopni. Tak pokazują pomiary, natomiast z powodu porywistych wiatrów na początku sezonu temperatura odczuwalna może spaść nawet poniżej minus czterdziestu stopni. Dlatego też należy zwrócić szczególną uwagę na odpowiedni strój oraz zadbać o dobrą aklimatyzację.

W Argentynie dopiero zaczyna się lato i nie ma prawa być choćby przez chwilę ciepło i przyjemnie w tych górskich ostępach. Mogło być gorzej. Stawiam krok za krokiem i rytmicznie przebieram kijkami trekkingowymi. Chowam głowę w ramiona i patrzę pod nogi, żeby wiatr za bardzo nie smagał skóry po fragmentach twarzy wystającej przez mocno zaciśnięty kaptur i kominiarkę. Co jakiś czas tylko zerkam dalej przed siebie, żeby sprawdzić, czy na pewno

dobrze idę. Dostrzegam jedynie pustą przestrzeń spowitą woalką nocy. Teren na stokach Aconcagui wydaje się zupełnie obcy, pośrodku gór na odległym kontynencie, który od domu oddziela bezkresny ocean. Nie zmienia to faktu, że przyjechałem z jasno sprecyzowanym celem, do którego konsekwentnie dążę. Dość już rozmyślania i chwil powątpiewania. Zaczynam powtarzać w myślach niczym mantrę słowa Alfredo: „Idź, po prostu idź”, i stawiam kolejny krok.

Kondycyjnie czuję się bardzo dobrze i staram się unikać dłuższych postojów, żeby nie narażać organizmu na niepotrzebne wychłodzenie. Dodatkowo komfort cieplny poprawiają dwa pojemniki z rozgrzanym płynem, które wetknięte za kurtkę puchową przylegają do piersi. Dobrze izolowane pozwalają utrzymać ciepłość ciała w krytycznych momentach przed wschodem słońca i zarazem są chronione przed zamrożeniem.

Mało wymagający trawers się kończy, zaczyna się strome i żmudne podejście zakosami do góry. Szukanie stopni lub równego podłoża nie sprawia trudności nawet w mroku, ale wymaga większego skupienia i bardziej wytężonego wysiłku.

W pewnej chwili zaczynam odczuwać ostrzegawcze mrowienie w prawej stopie oraz kciukach. Zapewne dzieje się tak na skutek zwiększonego zapotrzebowania organizmu w tlen i spowolnionego tempa marszu. A może też w wyniku mocniejszego ucisku przez kurczowo trzymane kijki trekkingowe oraz twarde buty na stromym podejściu, żeby zwiększyć stabilność w bardziej wymagającym terenie. Nie wygląda to dobrze, ale też nie należy panikować. Niejednokrotnie podczas poprzednich ekspedycji odczuwałem podobne objawy. Rozpoczynam więc

standardową procedurę zwiększenia ukrwienia i odzyskania czucia w palcach. Ruchem wahadłowym dynamicznie wymachuję rękami na boki do momentu, kiedy ciepła i natleniona krew spłynie do samiotklich opuszków palców. W przypadku stopy należy zastosować inny sposób, bo niby jak wymachiwać nogą skrępowaną trzema warstwami ocieplającymi oraz obciążoną masywnym butem zimowym z metalowymi kolcami? Próbuję wahadła, ale ostatecznie decyduję się na rytmiczne uderzenia zębem atakującym raków o zmarzniętą ziemię. Po chwili krążenie wraca do normy. Mam jednak świadomość, że zanim wszędzie słońce, sytuacja się niejednokrotnie powtórzy, więc postanawiam regularnie co piętnaście minut zatrzymywać się i wykonywać rutynowo zabiegi rozgrzewania kończyn.

Pomimo pewnych niedogodności maszeruję w dość równym tempie. Ku mojemu zdziwieniu szybko docieram do punktu, skąd przedwczoraj podczas wypadu aklimatyzacyjnego zawróciłem. Oznacza to, że właśnie pokonałem trzystumetrowe przewyższenie oraz że powyżej już nie znam okolicy. Podążam ledwo wyróżniającymi się pośród kamienistego pustkowia ścieżkami. Mam trudności w odczytaniu odpowiedniego kierunku na nowym obszarze. Pozostaje zaufać orientacji w terenie i wyczuciu górołaza, które podpowiadają, by czasem skręcić bardziej w lewo lub innym razem bardziej w prawo. Pokonać jak najkrótszy dystans, kierować się zawsze do góry i jak najmniej się przy tym natrudzić.

W takcie krótkiego odpoczynku rozglądam się dookoła. Widzę szary, zasnuty całunem mroku, nieożywiony krajobraz. Gdzieś za widnokrzem wstaje nowy dzień, któremu niełatwo przedostać się przez zasieki z graniastych

turni. Poszarpane boczne grzbiety Aconcagui z powodzeniem rozpraszają pierwsze promienie wschodzącego słońca. Nieliczne refleksy świetlne, którym udaje się dotrzeć na zasnutę cieniem stoki, w mgnieniu oka pochłaniają chropowate powierzchnie skały pochodzenia wulkanicznego.

Zażarta walka odchodzącego mroku z powoli, ale konsekwentnie skradającym się porankiem, który niesie nadzieję ocieplenia, tworzy niepowtarzalne efekty wizualne. Odrealnione miejsce, pustka zawieszona między dniem a nocą. Z pewnością niejeden fotograf uznałby uchwycenie podobnych pejzaży, kiedy unikalne piękno zjawisk przyrodniczych potęguje się poprzez wyrazistą mozaikę światła i cienia, za apogeum twórczości. Wystarczy tylko rozstawić statyw na małym wypłaszczeniu po prawej i zebrać obiektywem mistrzowskie ułożenie ulotnych promieni słonecznych...

Mnie jednak teraz doskwiera przenikliwy ziąb i pożytkuję każdy ruch, żeby wytworzyć choć odrobinę ciepła, zmagazynować je pod puchową kurtką i pozwolić krwi, by dotleniła zdrętwiałe członki.

„Dlaczego krew nie chce spływać do dłoni?” – pytam samego siebie i jednocześnie strzepuję ręce, jakbym opędzał się przed pająkami w amazońskiej dżungli lub nietoperzami w czeluściach jaskiń krasowych. Na chwilę uczucie mrowienia w czubkach palców ustępuje i pozwalam sobie na krótki postój. Odczuwam dyskomfort, ale zarazem ulgę, ponieważ znowu na chwilę udało mi się zapanować nad wychładzaniem organizmu. Relaksuję się i rozkoszuję unikatowością skąpanych w brzasku stoków Aconcagui na wysokości sześciu tysięcy metrów oraz ulotnością krótkiej chwili życia. Nie czekam długo, ponieważ ponownie

dopadają mnie skurcze mięśni. Dojmujące zimno przebija się przez warstwy izolujące odzieży, trzeba się ruszać. Oby tylko do wschodu słońca!

Gdzieś w plecaku spoczywa nieruszony od wyjścia z namiotu aparat. Niejednokrotnie przez głowę przeszła mi myśl, żeby zrobić zdjęcie, ale panuje taki ziąb, że ściągnięcie łapawic na krótką chwilę mogłoby stać się powodem odmrożenia palców. To miejsce, te widoki, ten moment zostaną tylko w mojej głowie.

Stawiam kolejne kroki i samotnie podążam do celu. Od momentu wyjścia z namiotu nie spotkałem żywej duszy. Liczę na to, że słońce przyniesie trochę ciepła i gdzieś w górze, za rysującym się przede mną progiem skalnym, leży obóz Colera (6000 m). Powyżej powinny być namioty i ludzie, którzy dzisiaj również idą na szczyt.

Docieram do stromych skał i znajduję wąski przesmyk między dwoma kamiennymi blokami, który prowadzi na drugą stronę. Dobrze naostrzone raki rysują gładką powierzchnię, wydając jednocześnie nieprzyjemny dla ucha zgrzyt. Przy każdym otarciu lecą iskry, które bardzo wyraźnie odznaczają się w mroku na tle ciemnych głazów. Pomalowanym na pomarańczowo zębem atakującym wyszukuję stopni lub płaskich zagłębień, żeby stabilnie stanąć. Jaskrawy kolor ułatwia operowanie butem i wyczuwanie nierówności.

Kilka kroków dalej przedostają się przez barierę na drugą stronę, gdzie znajduje się rozległy płaski teren otoczony z trzech stron murem skalnym. Na otwartej przestrzeni panuje spokój, dociera więcej światła i robi się odrobinę cieplej. Żółte namioty w Colerze najwyraźniej trzymają komitywę z wiatrem, gdyż brezent na metalowej konstrukcji

nawet nie drgnie. Brak oznak życia. Kolejne opustoszałe obozowisko-widmo. Może wszyscy jeszcze śpią, a może już dawno temu wyruszyli na atak szczytowy? O nie... przepraszam, za jednym ostańcem wystaje głowa dziewczyny w różowej chuście na głowie, która przykucnęła blisko ziemi za potrzebą fizjologiczną. Niewiele kobiet można spotykać powyżej bazy, tylko nieliczne chcą zmierzyć się z surowym klimatem Aconcagui. Obozowisko dopiero powoli budzi się ze snu. Nic tu po mnie, trzeba iść dalej.

Światło świtu oblewa rumieńcem białe skały – Piedras Blancas (6100 m), które pąsowieją, jakby zajrzały pod spódnicę Aconcagui. Nareszcie robi się jaśniej i widać, że gdzieś na górze już weszło słońce. Wraz z nadchodzącym dniem rodzi się nadzieja na poprawę warunków. Jeszcze kilka kroków po stromym stoku, jeszcze kilka chwil i niebawem na zziębnięte policzki padną pierwsze promienie słońca. Przede mną wyłania się prowadząca zakosami ścieżka. Szczytu nie widać, ale przynajmniej znam kierunek podejścia. Na dodatek zauważam przede mną, w odległości około piętnastu minut, pnącą się z wolną grupką alpinistów. Niczym zombie podążają monotennie za sobą, bezwładnie przy tym powłócząc nogami.

Dobrze spotkać kogoś mającego ten sam cel i z podobnymi zmartwieniami. Razem zawsze raźniej w drodze na szczyt. Dodatkowa motywacja napędza mnie i zmusza, żebym jeszcze szybciej i bardziej zdecydowanie przebieierał nogami. Co jakiś czas tylko przystaję na chwilę i wyrównuję oddech, układam myśli i pozwalam pulsującej w żyłach krwi zasilić mózg. W końcu doganiam grupkę wspinaczy i chwilę później wychodzimy z cienia na platformę skalną, gdzie blask słońca zmusza oczy do szybkiej akomodacji.

W takich momentach cieszę się, że nie jestem bladym wampirem ze światłowstrętem, bo skończyłbym jako pył, rozproszony przez porywisty wiatr smagający ściany Aconcagui. Odnoszę wrażenie, że przypadkowi towarzysze wędrówki mają mnie za takiego potwora o błoniastych skrzydłach. A to zapewne ze względu na idealnie pokrywający twarz przeciwsłoneczny krem, który czyni moje oblicze białym niczym kreda, oraz regularnie cieknącą wąską stróżką wydzielinę z nosa, która w połączeniu z krwią podrażnionych błon śluzowych i zatok tworzy zakrzepy nad ustami. Wrażenie potęguje jeszcze czarny kaptur kryjący dokładnie czoło, oczy, brodę i szyję oraz kły wystające przez rozwarżone usta. Wąska szczeka nie pozwoliła wyrosnąć im na równi z pozostałymi zębami i dobitnie wystają teraz przed linię siekaczy.

Jeden chłopak patrzy na mnie, po czym wyciąga telefon komórkowy przed siebie. Łapie ostrość i cyka fotkę.

„Oho... w taki oto sposób stanę się gwiazdą mediów społecznościowych” – mówię do siebie w myślach, szczerze rozbawiony. Odwracam się plecami do wiatru i momentalnie odczuwam przyjemnie rozchodzące się ciepło, które wypełnia wysmagane wiatrem ciało od stóp do głów. Zatykam kciukiem jedną dziurkę w nosie, po czym z impetem wydmuchuję gluty z nosa. Czuję się niczym Tadeusz Kantor, który z pasją realizował się w action painting⁵⁸. Teraz już wiem, do czego może się przydać miejsce na kciuk w łapawicach. Co prawda muszę co jakiś czas wymachiwać rękami, żeby nie odmrozić tego palca, ale za to mogę się porządnie wysmarkać.

⁵⁸ Technika malarska polegająca na wykorzystaniu spontanicznego, nieskrępowanego regułami malarskimi gestu bezpośredniego rozlewania (lub chlapania) farby na płótno.

Kiedy tak roztkliwiam się nad kwestiami drożności nosa, słyszę rozmowę po angielsku z brytyjskim akcentem.

– Jest bardzo zimno, chyba nie damy rady – mówi jeden ziomek.

– Tak, dzisiaj nic z tego nie będzie, wycofujemy się – przytakuje drugi.

– W takich warunkach nie widzę sensu, żeby kontynuować atak szczytowy – dopowiada jeszcze inny. – Pogoda daje nam ostry wycisk. Nie tym razem.

Ekipa wymija mnie i zaczyna powoli schodzić w dół. Po raz kolejny zostaję sam na sam z górą. Płonnie nadzieje, że będę miał okazję z kimś dzielić trud. Moje morale znacznie spada, przechodzę chwile słabości. Za daleko jednak doszedłem, przebrnąłem przez męki aklimatyzacji, żeby teraz się wycofać. Nie dlatego trenowałem przez wiele tygodni, nie po to kulejąc na jedną nogę szedłem do Penitentes, zmagalem się ze skutkami niedotlenienia w bazie, żeby teraz tak łatwo zrezygnować. O nie, to jeszcze nie koniec, samotnie też mogę wejść na szczyt.

Przełykam resztki batona energetycznego, biorę głęboki wdech i ruszam ku górze. Krok za krokiem, wdech za wdechem. Osadzam kijek trekkingowy w zmarzniętym śniegu i napieram do góry. Potrafię wykrzesać jeszcze sporo energii życiowej.

Dziesięć kroków i krótki odpoczynek na wyrównanie oddechu. Kolejne dziesięć kroków i na chwilę opieram się na kijkach. Następne dziesięć kroków i spoglądam przed siebie w kierunku szczytu. Jest dobrze. Odrobinę wyżej, pod ścianą białych skał widzę sylwetkę samotnego piechura. Nabieram siły i z jeszcze większą determinacją brnę do celu.

Ani się obejrzałem, gdy docieram do Refugio Independencia (6350 m), gdzie stoją ruiny prowizorycznego schroniska, w którym zapewne kiedyś zmęczeni wyczynowcy znajdowali miejsce, żeby odetchnąć lub schronić się w przypadku załamania pogody. Obecnie drewniana buda umownie oznacza połowę drogi na szczyt z Nido de Cóndores, gdzie należy zdecydować, czy kondycja, samopoczucie i pogoda pozwalają na kontynuowanie ataku szczytowego, czy też bezpieczniej będzie zawrócić. Późniejszy odwrót może być oplakany w skutkach dla zbyt zuchwałych śmiałków. Dzisiaj jednak pogoda mi sprzyja. Od pewnego czasu słońce ogrzewa twarz i spierzchnięte usta. Idę dalej!

Po kilkudziesięciu minutach zmagania ze stromym, ośnieżonym grzbietem – Portezuelo del Viento (6500 m) – wychodzę na trawers, który wydaje się ciągnąć w nieskończoność. Kondycja w dalszym ciągu dopisuje. Mam sporo siły i muszę przyznać, że odczuwam nawet komfort ciepły. Mam przeczucie, że się uda, że mogę stanąć dzisiaj na szczycie. Napieram dalej, sukcesywnie, krok za krokiem. Jestem coraz bliżej. Doganiam dwóch ziomków pomykających po wąskiej ścieżce przede mną. Widać, że góra wymaga od nich większego poświęcenia, bo idą bardzo mozolnie. Na granicy wydolności krążeniowo-oddechowej wyprzedzam ich, mijam charakterystyczny ostaniec skalny – Peñón Martínez (6500 m) – i określam sobie nowy cel. Oby do następnego oblodzonego pola śnieżnego.

Zdobywanie gór wysokich, ze względu na złożoność przedsięwzięcia, należy rozłożyć na szereg krótkich etapów. Sekret sukcesu stanowi wyznaczanie sobie kolejnych drobnych celów i konsekwentne ich osiągnięcie. Walka

ze swoimi słabościami, z samym sobą to skomplikowana sprawa i nie sposób być zmotywowanym tylko wizją zdobycia szczytu. Cały atak szczytowy trwa wiele godzin, a oprócz stromych, wymagających skupienia lub trudnych technicznie odcinków, sprowadza się w dużej mierze do monotonnego podejścia łagodnie nachylonymi stokami.

Właśnie dochodzę do oblodzonego fragmentu trawersu na spadzistym zboczu po zachodniej stronie, gdzie wciąż panuje półmrok. Raki ledwie siadają w lodzie. Nie spodziewałem się tak dużej różnicy temperatur między nasłonecznionym a zacienionym miejscem. Nie mogę przyspieszyć, bo śliskie podłoże wymaga więcej siły i precyzji przy stawianiu kroków. Czuję, że chłód zaczyna wnikać w głębię ciała. Pierwsza w kolejności do odstrzału idzie prawa stopa i wystające z łapawic kciuki. Nie ma żartów z mrozem. Zatrzymuję się i z uporem maniaka wymachuję rękami na wszystkie strony. Krążenie powoli wraca, palce przestają szczypać. Podobnie robię ze stopami. Przychodzi ulga, ale tylko na krótki czas. Jak najszybciej muszę przejść zacieniony trawers, żeby ponownie pozwolić ogrzać się słońcu.

„Łomatkobosko, kurza stopa, jak tu zimno” – krąży w myślach, kiedy mocno ściskając kijek, staram się wbić ostre końcówki w zmarznięty śnieg. Kurczowe trzymanie rączki blokuje cyrkulację krwi w placach i ponownie dopada mnie mrowienie wraz z brakiem czucia. Jeszcze kilka kroków, a dojdę do skąpanej w słońcu skały, gdzie będę mógł odetchnąć i się rozgrzać. Napieram zaciekle i wychodzę na słońce.

Znajduję dogodne miejsce na oświetlonym kamieniu, uzupełniam płyny i wysysam resztki żelu energetycznego

z małej saszetki. Kilkadziesiąt metrów dalej widzę innego górolaza, który zachowuje się co najmniej dziwnie. Wbrew wszelkiej logice zdejmuje rękawice i rozwiązuje buty. Jak to? Przecież tu jest niemożliwie zimno?! Czyżby całkowicie postradał zmysły? Podchodzę do niego i z niedowierzaniem oglądam, jak masuje gołe stopy na wysokości powyżej sześciu i pół kilometra! Zaistniała sytuacja wygląda tak niedorzecznie, że sam nie wiem, jak zareagować.

– Cześć, uważaj na stopy i dłonie, żeby nie odmrozić – mówię, nadal nie wierząc w to, co widzę.

– Bardzo szybko przyszedłeś, musisz być w dobrej kondycji – odpowiada mi z gruszki, ni z pietruszki. – Widziałem, że byłeś daleko i momentalnie mnie dogoniłeś. Wyprzedziłeś też tych Anglików, którzy są dopiero pośrodku trawersu Gran Acarreo.

– Faktycznie, ziomki nie wyglądają na bardzo żywotnych, ale dobrze im idzie – komentuję. – Czy wszystko w porządku?

– Już od pewnego czasu nie jestem w stanie rozgrzać stóp i tracę powoli czucie.

– Nie wiem, czy zdjęcie butów ci pomoże. Kiedy tracę czucie, zatrzymuję się na chwilę i uderzam zębami raków o ziemię do czasu, aż poprawi się krążenie. Pomaga na chwilę i mogę iść dalej – opowiadam obrazowo i jednocześnie pokazuję. – Staram się nie doprowadzić do skrajności. Kiedy czuję mrowienie, od razu zaczynam wymachiwać nogami lub dłońmi – podsumowuję swój wywód.

– Posiedzę jeszcze tutaj i spróbuję się trochę rozgrzać. Wyżej powinienś spotkać mojego brata.

– Na mnie już pora. Do zobaczenia na górze. – Klepię druha po plecach i idę dalej. Mam mieszane odczucia odnośnie jego stanu zdrowia i zachowania. Życzę mu

jednak z całego serca, by ta wyprawa zakończyła się dla niego szczęśliwie.

Budzi się we mnie determinacja. Odczyty wysokości z nawigacji satelitarnej wskazują, że do celu już naprawdę niedaleko. Bez zbędnego zastanawiania zmierzam prosto do celu. W mgnieniu oka dochodzę do niebieskich plastikowych beczek leżących pod wklęsłą ścianą – La Cueva (6650 m). Przypominają mi się wskazówki Słoweńców, że stąd już bardzo blisko do końca. Skręcam w lewo i przede mną rysuje się spadzisty, ośnieżony stok – La Canaleta (6700 m), wiodący prosto na górę między luźno ułożonymi kamieniami. W górskim świecie, ze względu na wycieńczające podejście, kojarzy się wręcz z mitycznym miejscem, gdzie ścierają się zwątpienie i determinacja. Niestabilne podłoże nie pozwala wyznaczyć utwardzonej ścieżki, a osypujący się spod nóg grunt jeszcze bardziej potęguje zmagania na poziomie sześciu tysięcy siedmiuset metrów. Idę na tyle szybko, na ile pozwala przeciążony organizm. Najpierw ponad śnieżny stok, żeby nie spowodować potencjalnej lawiny, a potem ku górze.

Wygodnie chodzi się po śniegu, bo mogę stawiać kroki w dowolnych odstępach. Łatwiej też wyrównać oddech i nie siadają mięśnie ud jak w przypadku wydłużonych susów, żeby pokonać naturalne bariery na drodze w postaci wysokich stopni, okazałych głazów, ruchomego materiału skalnego lub szczelin. Wraz z wysokością wchodzenie sprawia coraz więcej trudu. Wytężonego wysiłku na ostatnim odcinku nie da się porównać ani do biegania za piłką, ani wyciskania sztangi na siłowni. W pewnym momencie stok śnieżny zamienia się w wyłożoną kamieniami pochyłość. Omijanie głazów nie należy do przyjemności, więc

częściej zatrzymuję się na odpoczynek. Wyrównuję oddech, spoglądam do góry i widzę pionową ścianę, pod którą prowadzi w lewo wąski trawers. Wydaje się, że największy wysiłek jeszcze przede mną, tuż przed wejściem na szczyt.

Muszę być już naprawdą bardzo wysoko, ponieważ z poziomu trawersu za moimi plecami prezentuje się w całej okazałości południowy wierzchołek Aconcagui. Ośnieżona ściana wygląda, jakby spadała pionowo w dół i urywała się nad bezkresną przepaścią. Kopała szczytowa dominuje nad okolicą. I pomyśleć, że przez ostatnie kilka dni mogłem podziwiać osnutą chmurami grań tylko z dołu. Teraz zaś prawie dotykam palcami dachu Ameryki, gdzie wiejący od wybrzeża Pacyfiku wiatr potęguje surowy klimat, gdzie zamiast śniegu leżą twarde jak kamień i uformowane przez zawieruchę płyty lodu firnowego. Porywiste wiatry, silne słońce, ekstremalne temperatury, a pod nogami surowa skała. Miejsce wyjątkowo nieprzyjazne człowiekowi.